

Kara dosięgnie każdego



PRAWDZIWE
HISTORIE!

MONIKA
KOSZEWSKA

MONIKA KOSZEWSKA

KARA DOSIĘGNIE KAŻDEGO

Sopot 2022

[Kup książkę](#)

Spis treści

1. Styczeń	9
2. A jednak miałem rację!	18
3. Trzeba mieć nadzieję	23
4. Bumerang	29
5. Inwestor nie od parady	35
6. Może jest jakaś szansa?	42
7. Katastrofa na budowie	52
8. Malinowski powraca	61
9. Urlop w kraju	76
10. Uczciwość odchodzi do lamusa	88
11. Jak opanować emocje?	96
12. Wypowiedzenie	105
13. Zły sen	113
14. Żona Franciszka	120
15. Jesteś następny!	128
16. Absurd goni absurd	137
17. Przepraszam...	144
18. Planujemy urlop	156
19. Samobójstwo	172
20. Psychopatki	183
21. Hipodrom w Sopocie	191
22. Zagrożenie	201
23. Krótki wyjazd	208
24. Przypadkowe spotkanie	215

25. Drobin	222
26. Na skrzyżowaniu dróg	230
27. Morderstwo czy wypadek?	240
28. Oczy i uszy otwarte	247
29. Mgła to kłopoty	254
30. Grafolog	261
31. Podkomisarz w kajdankach	268
32. Kryzys	274
33. Pożegnanie	284
34. Atak	295
35. Świt rozpoczyna dzień, zmierzch go kończy	301
36. Smutek	308
37. Zaginiona przed jedenastu laty	314
38. Pogrzeb	323
39. List zza grobu	332
40. Prokurator	341
41. Dlaczego o tym nie pomyślałem?	347
42. Pierścionek – symbol czy zobowiązanie?	355
43. Pomarańcze dla Rudego	365
44. Spowiedź	373
45. Zranione zwierzę	386
46. Tak niewiele brakowało	396
47. Przepraszam	404
48. Media	413

1.

Styczeń

Tak mroźnej zimy dawno nie było na Wybrzeżu, piętnaście stopni mrozu to nie są temperatury dla mieszkańców Pomorza. Owszem, lubię śnieg, chociaż nie wiem czy w tym roku uda mi się pojechać na narty. Inny jest mróz na stoku, a inny w Trójmieście, gdzie wilgoć sprawia, że na samą myśl o wyjściu na zewnątrz mózg zamarza.

Pamiętam jak po raz pierwszy Wiktor zabrał mnie do Włoch. Myślałem, że niczego się nie boję, nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych, a jednak w Piancavallo czekało na mnie parę niespodzianek. Zanim tam dojechaliśmy Wiktor zapewniał mnie, że jazda na nartach jest prawie tak samo prosta jak na rowerze.

Piancavallo to ośrodek narciarski położony we wschodniej części regionu Friuli-Wenecja Julijska, w prowincji Pordenone. Dlaczego wybrał tę miejscowość? Wprawieni narciarze tu raczej nie zaglądają. Chyba tylko ze względu na mnie, początkujący mają tam idealne warunki do nauki. Oczywiście zbłądziłem się już pierwszego dnia, a było przed kim, bo

w naszym hotelu zakwaterowała się grupa kilkunastu kobiet. Niektóre z nich były naprawdę bardzo atrakcyjne. Ciekawe po co tu przyjechały, porzuciły gdzieś swoich partnerów, a może – jak to się teraz mówi – są singielkami i przyjeżdżają w takie miejsca na polowanie. Nieraz zdarzało się im komentować moje porażki na stoku:

- Marcinie, nie przejmuj się, początki zawsze są trudne!
- Do tego stopnia, żeby wjeżdżać orczykiem na kolanach?
- Dostanie się na górę jest trudniejsze niż zjazd w dół
- krzyknęła ta, co perfekcyjnie zjeżdżała wzdłuż wyciągu.

Po paru godzinach zaciętej walki pod okiem doświadczonego instruktora poczułem się swobodnie, miałem nawet wrażenie, że jestem świetny, ale – jak mówi przysłowie – „Nie chwal dnia przed zachodem”.

- Przepraszam, nie wyrządziłem ci krzywdy? Jesteś cała?
- Nie, wszystko w porządku.
- Na pewno? Trzymasz się za głowę...
- Uderzyłam kaskiem o twoją nartę, chyba będzie guz.
- Może trzeba zawieźć cię do lekarza? Jestem trzeźwy, przy hotelu stoi samochód mojego przyjaciela.
- To twój przyjaciel?
- Pytasz o Wiktora?
- W sumie tak.

– Pracuję u niego, ale można powiedzieć, że jesteśmy jak ojciec z synem. Dlaczego się śmiesz?

– Część dziewczyn obstawiała, że jesteście parą, inne mówiły, że jest twoim ojcem i tylko udajecie kumpli, żeby wyrywać dziewczyny.

– No to trochę się pomyliłyście. Nikogo nie wyrywamy, ja jestem początkującym narciarzem, a Wiktor pewnie gdzieś szusuje po czerwonych i czarnych trasach i w duszy przeklina mnie, że są takie krótkie, bo zwykł jeździć do większych ośrodków. Przepraszam, nie dość, że prawie cię zabiłem, to jeszcze się nie przedstawiłem, Marcin Kowalski.

Jak to brzmi z moich ust: „prawie cię nie zabiłem”. Przecież jak ja kogoś pozbawiam życia to raz, a dobrze – a nie prawie.

– Gabrysia Polańska, miło mi. – Nawet mi się spodobała. Dość ładna i chyba niegłupia. Odprowadziłem ją do hotelu, a może raczej ona mnie, bo ja ledwo szedłem, tak mnie wszystko bolało. I to by było na tyle naszej znajomości – wieczorem przyjechał jej chłopak. Pewnie opowiedziała mu jak w nią wjechałem, bo patrzył na mnie spod oka i dziwnie się uśmiechał. Kolejny dzień spędziłem w saunie i na masażu, trochę się zregenerowałem i znów wróciłem na stok. Szóstego dnia mój instruktor miał mnie po dziurki w nosie, bo jak nikt inny brałem lekcje dwa razy dziennie po dwie godziny, ale przynajmniej po powrocie do Trójmiasta mogłem powiedzieć, że potrafię – w miarę - jeździć na nartach. Może to za dużo

powiedziane, ale nie przewracałem się na orczyku i na łagodnym stoku zjeżdżałem nie taranując narciarzy.

W świetle ostatnich wydarzeń chwila relaksu umysłowego jest jak znalazł. Wyjazdy z Wiktorem zawsze miło wspominać. Wiktor był wyjątkowym człowiekiem. To, że jestem – tu gdzie jestem – w stu procentach jemu zawdzięczam. Chociaż jak żył nie zdarzało mi się dość często dziękować mu za to, co dla mnie zrobił i czego mnie nauczył.

– Marcinie, wszystkie sukcesy zawdzięczasz swojej determinacji i ciężkiej pracy. To ja powinienem ci dziękować, że podjąłeś pracę w Inwestycjach Rozwojowych. Gdyby nie twoje zaangażowanie nie mielibyśmy pionu deweloperskiego.

– Wiktorze, dziękuję za uznanie, ale...

Zwykle kończyło się na „ale”. Wiktor ucinał dalszą dyskusję jednym zdaniem:

– Człowiek, który ma matematykę w jednym paluszku, wie, że dwa plus dwa równa się cztery. Wzrost wyników firmy mówi sam za siebie, takich przychodów i rentowności Inwestycje Rozwojowe dotychczas nie miały.

Kiedy myślę o tym, co się ostatnio wydarzyło, mam sobie sporo do zarzucenia. Pamiętam jak po raz pierwszy wtargnął do mojego biura podkomisarz Jasiński, który pewnie już wkrótce zostanie moim kolegą. Nie żebym o tym marzył, ale prędzej czy później wprowadzi się do Agnieszki. Tamtego dnia narobił spore-

go zamieszania w moim biurze i w mojej głowie. Nie miałem pojęcia, że Kamila mnie tak przechytrzyła. Myślałem, że nagle zgłosiła się do dziennikarza śledczego, Mariana Złotego, żeby pomógł jej rozwikłać zagadkę wypadku brata. Tymczasem okazało się, że znali się od lat. Jezu, jaką musiałem mieć minę, kiedy oznajmiła mi, że są zaręczeni! Dobrze, że nikt tego nie uwiecznił, chociaż – kto wie – może otrzymałby za to zdjęcie pierwszą nagrodę w konkursie fotograficznym World Press Photo. Powinno mi coś zaświtać podczas rozmowy ze Złotym na plaży, kiedy powiedziałem:

– Kamila nie mogła zostać właścicielem firmy, bo nie zna się na prowadzeniu biznesu, w życiu nie przepracowała ani jednego dnia, była na utrzymaniu brata.

– Panie Marcinie, dlaczego pan tak o niej mówi? Przecież nie zna jej pan. Została sama z dwuletnim dzieckiem.

Przecież musiał być z nią bliżej, o takich sprawach nie rozmawia się z obcymi, nawet jeśli tym obcym jest dziennikarz śledczy – a może przede wszystkim. Po drugie powiedział, że jej nie znam, czyli on znał ją lepiej ode mnie. Co jeszcze umknęło mojej uwadze? Myślałem, że jestem bystry, inteligentny, nic i nikt nie jest w stanie mnie zaskoczyć, a teraz zaczynam się zastanawiać, jakie jeszcze tajemnice ujrzą światło dzienne w najbliższym czasie.

– Cześć, przyjacielu!

– Jezu, Marcel!

– Proszę, stałeś się bogobojny! Przepraszam, może nie powinienem, ale musisz przyznać, że informacja o twojej rodzicielce to jak fragment scenariusza filmowego, a nie prawdziwa historia.

– Nie przepraszaj. Jeżeli to co powiedziała pani Wiesia jest prawdą, to teraz rozumiem, dlaczego dyrektor bidula nazywał mnie szatańskim pomiotem.

– Marcin, daj spokój, naoglądał się horrorów, może „Dziecko Rosemary” znał na pamięć, dlatego u ciebie doszukiwał się podobieństw. Swoją drogą to ciekawe, skąd oni wiedzieli, że twoja mama jest zakonnicą, przecież nie zapukała do drzwi i się nie przestawiła, tylko zostawiła cię i uciekła.

– Podobno ktoś ją widział, po jakimś czasie przysłała do dyrektora list z prośbą, żeby się mną zaopiekował i zrobił wszystko, abym nigdy nie wpadł na pomysł szukania rodziców, bo ona służy Bogu i jedyne co może dla mnie zrobić to modlić się do Niego w mojej intencji.

– Trzeba przyznać, że ma niezły posłuch u Stwórcy.

Żeby Marcel wiedział jakie jest moje drugie oblicze, to nie dziwiłyby go słowa dyrektora:

– Przeraża mnie to szatańskie dziecko, jeszcze jakieś nieszczęście na nas ściągnie. – Na szczęście mamy Nowy Rok, moi wrogowie pozabijali się nawzajem, nie mam kogo karać. A co jeśli za śmierć Złotego i Malinowskiego jest odpowiedzialny Latkowski, albo mecenas Berentowski? Nie podejrzewam, że robili to

własnymi rękami, pewnie dali komuś zlecenie. Nie wierzę policji, że Malinowski się powiesił, a Złoty przedawkował i zmarł na zawał serca. Bujać to my, a nie nas! Nikogo jeszcze nie powiesiłem, ale to banalnie prosty sposób na morderstwo doskonałe.

– Halo, ziemia do Marcina!

– Marcel, przecież jestem, o co chodzi?

– Ciałem tak, ale myślami zupełnie gdzie indziej! Nie wiem na jakiej orbicie lataasz, ale zejdź na ziemię. Chciałeś analizę.

– Oby jedną, wciąż proszę cię o jakieś analizy!

– Wiesz co, przyjdę później, albo jutro, widzę, że ta rozmowa do niczego nie prowadzi. Chyba, że mogę ci pomóc, masz jakieś kłopoty?

– Nie wiem...

– Znasz kogoś kto wie?

– Znam, co najmniej dwie osoby. Co tak patrzysz? Zaskoczony?

– Szczerze mówiąc, tak.

– Wierzysz w samobójstwo Złotego i Malinowskiego?

– Nie zastanawiałem się nad tym. Powiedziałeś, że nie żyją, więc przyjąłem to do wiadomości.

– Malinowskiego znaleziono wiszącego na drzewie przy potoku w Jelitkowie, niedaleko wejścia 67.

– Widocznie miał sentyment do morza i plaży, dlatego wybrał sobie to miejsce.

– Tak, pewnie poszedł z drabiną, umocował linę, ustawił się frontem do morza, a dupą do naszej inwestycji

i zakończył żywot. Jak on mógł? Rozumiem, że mnie nienawidził, ale wypiąć się tyłkiem na coś, co za parę miesięcy poprawi otaczający to miejsce krajobraz? Ruinę zamienimy w dzieło sztuki, perełkę, przy której przechodnie będą się zatrzymywali i robili sobie zdjęcia.

– Znaleziono tam drabinę?

– Gdzie?

– Przy naszej inwestycji. Nie patrz tak na mnie, żartuję! Przecież rozmawiamy o Malinowskim, a to, że ty masz hopla na punkcie wszystkiego, co robisz i swoje przedsięwzięcia traktujesz jak własne dzieci, wychwalając je pod niebiosa i zapominając o bożym świecie, to inna sprawa. Znów o Bogu mi się napomknęło...

– Nie było drabiny i przestań z tymi nawiązaniem, powoli zaczyna mnie to irytować!

– To dlaczego o tym mówisz?

– Byłem tam.

– Co w tym dziwnego? Ostatnio byłem tam kilka razy. Po świętach spacer po plaży to idealny sposób na przepalenie kalorii.

– Ja nie poszedłem tam, żeby podziwiać zasiadające na cyplu ptactwo, ani żeby zbierać muszle.

– Drwisz sobie ze mnie? To, że u Marceliny na biurku postawiłem słoik z muszlami, które zebraliśmy podczas naszego spaceru, to chyba nic złego. Człowieku, wyluzuj, nie możesz być ciągle taki spięty, jakbyś kij połknął! Wiem, masz problemy, ostatni rok był dla ciebie ciężki.

– Trzydzieści cztery lata, chociaż najbardziej w kość dały mi ostatnie dwa. Zaczekaj, nie wiem czy ten, w którym Gosia odeszła nie był dla mnie większym koszmarem. Może nie, bo wtedy dostałem duże wsparcie od Wiktora, teraz jestem sam. Nie ma Gosi, nie ma Wiktora. Kto następny?

– Pani Wiesia.

– No tak, zupełnie bym zapomniał, umówiłem się z jej lekarzem, może jest jeszcze jakaś nadzieja.

– Pani Wiesia wyzdrowieje?

– Sama z siebie raczej nie ma szans, ale może przy naszej pomocy. A tak naprawdę przy pomocy pieniędzy, które jesteśmy w stanie wyłożyć na jej leczenie.

– My?

– Tak powiedziałem, nie przesłyszałeś się.

– Marcin, ja mogę dać tylko parę tysięcy, a podejrzewam, że to nie wystarczy.

– Mój drogi przyjacielu, za sprawą twoich analiz, które pozwolą mi podjąć właściwe decyzje i zmniejszyć ryzyko inwestycji, możemy zarobić kilkadziesiąt tysięcy, a to powinno wystarczyć na leczenie, które nie jest finansowane przez nasz NFZ.